

Czy Litwini polubią Polaków?

Na szcze

**Musimy się pogodzić
z tym, że istnieją
dwie prawdy
i dwie opowieści
o tym mieście.**

**Nie jest oczywiste,
że Polska przed II wojną
okupowała Wilno.**

**Tak samo jak to,
że tego nie robiła**

Z LITEWSKIM HISTORYKIEM

ALVYDASEM NIKŽENTAITISEM

ROZMAWIA **EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ**

– Od dziecka wiedziałem, że porządny Litwin nie może ufać Polakowi, bo ten zawsze go oszuka.

Skąd ta wiedza?

– Chyba wyssałem ją z mlekiem matki.

Mądrość pokoleń?

– Sam do końca nie wiem, czy przeszła na mnie bardziej z opowieści dziadków i rodziców, czy raczej ze szkoły. W głowie dziecka Polska była tym złym sąsiadem, który regularnie Litwinom coś zabiera, niczego nie dając w zamian. Dużo słyszałem o litewsko-polskich walkach o Wilno w dwudziestoleciu międzywojennym. Nijak nie mogłem zrozumieć, dlaczego Litwa po prostu tej Polski nie pokonała. Aż któregoś dnia spojrzałem na mapę i porównałem wielkość obu państw. Wtedy zrozumiałem.

Gdzie się pan wychowywał?

– Na wsi niedaleko miasta Jurbarkas, przy granicy dawnych Prus Wschodnich. Mieszkało tam sporo ewangelików, o których mówiło się, że są zniemczonymi, czyli nieprawdziwymi, Litwinami. A jeśli ktoś żenił się z Rosjanką lub Polką czy wychodził za mąż za Rosjanina lub Polaka, był uważany za zdrajcę. Choć w naszej wsi żadnych Polaków nie było, zostałem do Polski wrogo nastawiony.

Czym zajmowali się rodzice?

– Nie mieli możliwości uczenia się, bo większość mojej rodziny została wywieziona na Syberię. Rodzice pomagali tym krewnym, którzy zostali. Mama sprzątała w szkole, tata pracował w kołchozie. To były trudne czasy. Pamiętam, jak ojciec pokazywał mi rozległe ziemie, które należały kiedyś do moich dziadków, ale po chwili podkreślał, że byli oni ubogimi chłopami. Rodzice bardzo długo ukrywali, z jakiej rodziny pochodzę, że brat mojego dziadka lub pradziadka był księdzem. Wrócił z emigracji w Ameryce i niedaleko zamku Poniemuń wybudował salezjanom budynek klasztorny. Chodziłem tam

Żście byłem niewyspany



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

do szkoły, ale nie miałem o tym pojęcia. Podobnie jak o tym, że w międzywojniu ten sam krewny wykupił też sam zamek, chcąc stworzyć w nim obserwatorium. Jedyne przesłanki, że pochodzę z zamożnej niegdyś i światłej rodziny, były takie, że moi rodzice – w odróżnieniu od rodziców moich kolegów – zachęcali mnie do czytania książek. W innych domach było to uważane za nicnierobienie. A ja, jeśli czytałem, byłem zwolniony z prac w gospodarstwie. Z czego korzystałem, czytając wciąż więcej i więcej.

Kiedy zaczął pan zmieniać zdanie co do Polski?

– Kiedy w 1979 roku wyjechałem do Wilna na studia historyczne, większość studentów myślała jak ja. W środowisku historyków niekwestionowany był pogląd, że wszyscy sąsiedzi Litwę krzywdzili, a najbardziej Polska. No, może na równi z Rosją. Bo oczywiste było, że Litwa nie znalazła się w Związku Radzieckim dobrowolnie. Mieliśmy nawet profesorów, z którymi dało się o tym otwarcie dyskutować.

Zdanie na temat Polski zacząłem powoli zmieniać pod wpływem mojego profesora Edvardasa Gudavičiusa. Jako jedyny wykładowca patrzył na Polskę inaczej. Z wykształcenia był inżynierem, historię skończył zaocznie. Mieszkał w Kownie, gdzie w odróżnieniu od Wilna dało się oglądać telewizję polską. W czasach sowieckich wydawała się ona oazą wolności i wielu Litwinów nauczyło się dzięki niej polskiego. Gudavičius wniósł do historii inżynierskie myślenie – logiczne, bez uprzedzeń. Tłumaczył, że droga Litwy do Europy zawsze szła przez Polskę. Mówił, że na przykład gdyby nie unia krewska, możliwe, że stolicą Rosji byłoby dzisiaj Wilno, a my

wszyscy mówilibyśmy po rosyjsku. Co najmniej połowa książek z jego listy lektur była po polsku. Jeśli któryś student powiedział, że nie zna tego języka, tylko rzucił: „Co ja na to poradzę? To trzeba przeczytać”. Zresztą szacunek do polskiej szkoły historiograficznej był na uniwersytecie ogromny. To było niekwestionowane, że historyk powinien znać język polski.

Uczyliście się?

– Ja głównie z gazety „Trybuna Ludu”, którą dało się kupić w Wilnie. Znałem rosyjski, więc próbowałem przez analogię zrozumieć znaczenia słów. Na stu-

• **Antylitewski wiec w Wilnie, marzec 1938 r. Oba kraje nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, zamknęto granicę, nie działały poczta i łączność telefoniczna**

diach nie mieliśmy żadnych kursów, nawet słownika. Pamiętam, że w „Trybunie Ludu” regularnie pojawiało się słowo, którego nijak nie mogłem zrozumieć: „mleko”. Długo się głowiłem, w końcu któryś kolega powiedział: „Glupi, to przecież mo-ło-ko”.

W Wilnie chodziliśmy też do księgarni Draugystė (lit. przyjaźń), gdzie można było znaleźć polskie książki historyczne. W efekcie z czytaniem po polsku nie miałem problemów. Zresztą nie było wyjścia. Na seminariach profesor rzucił temat i mówił: „Zaczynajcie dyskutować”. Kiedyś po dziesięciu minutach nikt nie zaczął, więc wstał, powiedział, że nie jesteśmy przygotowani, i wyszedł. Ależ to był wstyd, ależ skandal.

Dobrze pan mówi po polsku.

– Kiedy nauczyłem się biegle czytać, wydawało mi się, że w związku z tym potrafię również mówić, pojechałem więc w 1989 roku z referatem na moją pierwszą konferencję do Torunia.

To zwiastuje katastrofę...

– W Litwie przyjęte było, że wieczorem przed konferencją spotkania trwają nie dłużej niż do północy, następnie podaje się kawę i to znak, że wszyscy mają się rozejść. Ale jestem w tym Toruniu, czekam zmęczony na tę kawę, ale nic się nie dzieje. Naukowcy piją, rozmawiają i ostatecznie do hotelu poszedłem o piątej rano. Wystąpienia zaczynały się o dziewiątej. Pierwszy raz w życiu miałem wygłosić publicznie referat. Pamiętam ten moment, kiedy strasznie niewyspany stałem przed ludźmi, chwytam się mównicy, próbuję coś mówić, zaczynam gestykulować i tracę

*Wszyscy sąsiedzi
Litwę krzywdzili,
a najbardziej Polska.
No, może na równi z Rosją*

orientację, popychając mównicę, która z hukiem spada na ziemię!

Jak zareagowała publiczność?

– Na sali siedział bardzo znany profesor Marian Biskup. On tę sytuację odebrał w ten sposób, że ja – młody historyk – bardzo emocjonalnie próbuję udowodnić zasadność swoich argumentów. I bardzo się mu to moje zaangażowanie spodobało! Zalatwił mi potem sporo wykładów, poznał ze znaczącymi osobami ze świata nauki. Kto wie, może gdybym wtedy był wyspany, nie zrobiłbym w Polsce żadnej kariery.

A co z antypolskimi stereotypami?

– Już w czasach „Solidarności” zacząłem trochę inaczej patrzeć na Polskę. Polska i Rosja były naszymi wrogami. Ale skoro Polska zaczęła kopać dolki pod Związkiem Radzieckim, to pojawiła się myśl: „Może nie jest ona aż tak zła?”. Poczułem coś w rodzaju sympatii. Ale największy wpływ miało jedno wydarzenie. Wracalem z Niemiec przez Polskę. Zatrzymałem się w Toruniu u Jana Kostrzaka, historyka, później pierwszego ambasadora Polski w Estonii. Był początek roku 1990, czuć było narastające napięcie na linii Wilno – Moskwa. Rodzina Jana mieszkała bardzo skromnie, nie przelewało im się. Zanim pojechaliśmy na pociąg, Jan z żoną pobiegli do apteki i wydali całe swoje oszczędności na lekarstwa, opatrunki, bandażę – wszystko, co może się przydać, jeśli w Litwie dojdzie do krwawych starć z Rosjanami. Mieli doświadczenie z działalnością w „Solidarności”, więc wiedzieli, co kupować. To, że oddali swoje ostatnie pieniądze, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Jak myślę o tamtej nocy, czuję przede wszystkim zdziwienie i wdzięczność. Nigdy nie poznamy wszystkich przedstawicieli jakiegoś narodu. Ja miałem to szczęście, że moim pierwszym polskim przyjacielem został taki człowiek... Potem coraz częściej jeździłem do Polski na konferencje, z polskimi historykami spotykałem się też w krajach zachodnich. Polska stawiała się dla mnie coraz bardziej ciekawa.

Wcześniej w ogóle nie była?

– Podam przykład historyczny. W 1923 roku w litewskiej gazecie ukazał się obszerny artykuł opisujący sytuację wewnętrzną w Polsce. Inne litewskie gazety zareagowały oburzeniem: „Po co my mamy cokolwiek o Polsce wiedzieć? Polacy to bandyci, złodzieje i porządny Litwin nie musi czytać o tym, co u nich się dzieje”. Ten przykład wyjaśnia, dlaczego przez tyle lat Litwini nie interesowali się Polską. Ciekawość była zablokowana przez strach. Informacja mogła przecież podświadomie wzbudzić jakieś pozytywne emocje i sprawić, że Litwin cieplej spojrzy na tego sąsiada, o którym rodzice uczyli, że można po nim spodziewać się wyłącznie świństw. Jakiś czas temu w Warszawie zapytano mnie podczas wykładu: „Dlaczego Litwini tak nie lubią Polski i czemu to nastawienie tak powoli się zmienia?”.

Co pan odpowiedział?

– Że nic w tym dziwnego, skoro co najmniej cztery pokolenia Litwinów – od zajęcia Wilna w 1920 roku – były uczone, że Polakom nie należy ufać. Takie wydarzenia historyczne jak unia krewska, unia lubelska były przedstawiane jako niekorzystne dla Litwy. Uczono nas, że z Polską trzeba walczyć o niepodległość, o Wilno, o Wileńszczyznę. To weszło w krew. Nie minęło nawet jedno pokolenie, odkąd uczymy patrzenia na wspólną historię nieco inaczej. Litwini zaczęli już postrzegać Polskę jako normalnego sąsiada, nie tylko jako stację benzynową na trasie do Berlina. Odkryli nie tylko polskie sklepy, ale i kraj z ciekawą kulturą. Mnóstwo osób jeździ do Polski na wakacje. A ostatnio Polacy obalili jeszcze jeden negatywny stereotyp na swój temat – złe drogi. Do niedawna Polska była ich synonimem.

No i w odróżnieniu od Litwy ma góry.

– Ma też co najmniej dwa muzea – Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku i Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku – w których są napisy albo audioprzewodniki po litewsku. To się Litwinom bardzo podoba. Cienimy takie symboliczne gesty, bo są oznaką szacunku. Zresztą nie tylko dla nas. Jakiś czas temu zamieszkałem we wsi Suderwa na Wileńszczyźnie, gdzie żyją litewscy Polacy. Moje słownictwo polskie na temat gospodarstwa domowego jest raczej ubogie, ale od początku próbowałem się porozumiewać z sąsiadami w ich języku. Dla nich ważny był sam fakt, że się staram. Taki



Alvydas Nikžentaitis

– litewski historyk, dyrektor Instytutu Historii Litwy, współtwórca i przewodniczący Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia

gest jest znakiem, że szanuję ich jako osobną grupę etniczną. Takie drobne rzeczy zbliżają ludzi.

Ja mówię po polsku bez lokalnego akcentu, więc Litwini biorą mnie zazwyczaj za Polkę z Warszawy. Niedawno usłyszałam: „Jak ładnie pani mówi po polsku. Jak słyszę miejscowych Polaków, zbiera mi się na wymioty”.

– Pani postrzega tę sytuację negatywnie, a ja się cieszę. Wreszcie Litwini zaczęli patrzeć na Polaków z Litwy i Polaków z Polski jako dwie odrębne grupy, z których przynajmniej ta druga budzi pozytywne emocje. Do niedawna wszyscy Polacy w oczach Litwinów byli źli. Kiedy w latach 1989-90 miejscowi Polacy stworzyli plan autonomii Wileńszczyzny, w Litwie mówiło się, że te separatystyczne działania są wspierane przez Warszawę, i dlatego w latach 90. Polska była uważana w Litwie za wroga numer jeden. Odżył stary niepokój: „Polska znowu chce zagarnąć Wilno”. Dopiero w 1994 roku Polska podpisała z Litwą, jako z ostatnią z republik postsowieckich, traktat o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej pomocy. Wcześniej Litwa żądała, żeby Polska przyznała się do okupacji Wilna i przeprosiła. Polska nie mogła tego zrobić. Autorzy traktatu znaleźli więc inne rozwiązanie.

Jakie?

– Zapisano: stolicą Polski jest Warszawa, a stolicą Litwy jest Wilno.

To wystarczyło?

– Tak, to był kompromis. Poza tym nieoficjalnie dogadano się, że oba państwa nie będą wspierały publicznych debat na temat dawnych stosunków polsko-litewskich oraz Armii Krajowej. Historia miała być zostawiona historykom. To chyba była zła decyzja.

Dlaczego?

– W ciągu kilku lat historycy polscy i litewscy w swoim gronie wszystko sobie wyjaśnili, ale społeczeństwo o tym się nie dowiedziało.

Co dokładnie sobie wyjaśnili?

– Zaczęliśmy się przyglądać temu, dlaczego inaczej interpretujemy te same zdarzenia. Weźmy temat Armii Krajowej. Należeli do niej Polacy, którzy nie mogli sobie wyobrazić swojej przyszłości bez przynależności do państwa polskiego. Siłą rzeczy Litwinów uważali więc za wrogów. Z kolei Litwini walczyli przeciwko Armii Krajowej, ponieważ uważali, że w 1920 roku, w czasie zajęcia Wilna, doszło do niesprawiedliwości, którą trzeba odwrócić. Zarówno Polacy, jak i Litwini byli patriotami swoich społeczności, byli przez nie ukształtowani, więc nie mogli w tamtym okresie zachowywać się inaczej. Historycy litewscy po wielu rozmowach z kolegami z Polski zrozumieli, dlaczego z perspektywy polskiej żołnierze Armii Krajowej są bohaterami, a historycy polscy musieli przyjąć, dlaczego nie ma szans, by w ten sposób patrzono na nich w Litwie. Zresztą jesienią robimy w Instytucie Historii Litwy dużą konferencję pod tytułem „Do kogo należy Wilno?”.

Żartuje pan.

– Pamiętam, jak w Polsce trwały dyskusje o tym, czy w nowych paszportach może się znaleźć wizerunek Ostrej Bramy. Zostałem zaproszony do studia telewizyjnego, by to skomentować. Chciałem zażartować, cytując marszałka Piłsudskiego, który mówił, że Polska jest jak obwarzonek – w środku pusto, a to, co najlepsze, jest na obrzeżach. Skoro Polacy nie mają nic swojego do umieszczenia na paszportach, trudno – niech biorą naszą Ostrą Bramę. Ale przed wejściem na antenę rozmawiałem z prezydentem Valdasem Adamkusem, który stwierdził, że to nie jest dowcipne. I zrezygnowałem. Z kolei Adam Michnik często powtarza: „Po co nam Wilno, skoro nie ma już granic i jeśli tylko chcemy, możemy wsiąść do samolotu i tu przylecieć?”. Na konferencji będą rozmowy podsumowujące okresy rywalizacji o Wilno. Dyskusje o aspiracjach terytorialnych i kulturowych Białorusinów, Żydów, Polaków, Litwinów. Chcę zaprosić na nią również przedstawicieli wielkich rodów, by zapytać, czy oni roszczą sobie prawo do miasta. Zresztą niedawno ambasadorem Polski w Litwie został Konstanty Radziwiłł.

Jak komentowano w Litwie wybór Radziwiłła na ambasadora?

– Żartowaliśmy w swoim środowisku, że rząd Polski zainwestował fortunę w restaurację pałacu



Paców w Wilnie, gdzie znajduje się polska ambasada. Ale kto to widział, żeby Radziwiłł siedział u Paców? Tylko tyle.

No, dobrze, a kiedy jest pan pytany o to, czy Polska okupowała Wilno, to co pan odpowiada?

– To mówię, że niestety zdarzają się sytuacje, kiedy mogą istnieć dwie prawdy. Gdy na początku XX wieku decydowały się losy Wilna, w grę wchodziły takie argumenty: etniczny – czyli przedstawiciele jakiego narodu mieszkają w tym mieście – i argument historyczny. Jeśli chodzi o kwestie etniczne, to Wilno było polsko-żydowskim miastem, jeśli natomiast o historyczne – litewskim. Polacy w pierwszej połowie XX wieku nie mogli Wilna nie zająć, podobnie jak Litwini nie byli sobie w stanie wyobrazić swojego odrodzonego państwa bez tego miasta. Często przywołuję cytat z Tomasa Venclovy: „Wilno dla Litwinów było tym, czym Jerozolima dla Żydów”. W Jerozolimie nie było już Żydów, tak samo jak w Wilnie sto lat temu mieszkało tylko kilka procent Litwinów. Polska strona musi jednak zrozumieć, jak wielkie było znaczenie symboliczne tego miasta dla nas. Musimy żyć z dwoma prawdami i dwoma opowieściami o tym samym mieście.

Ale jak uczyć historii?

– Istnieje polsko-litewska komisja podręcznikowa, która radzi autorom, w jaki sposób pisać o spornych okresach historycznych. Litewskim autorom proponuje się, żeby pisząc o roku 1920, nie używali terminu „okupacja polska” – i rzeczywiście większości litewskich historyków nie trzeba do tego zmuszać. Mamy natomiast pewien problem z naszymi polskimi kolegami, którzy rok 1939 zwykli nazywać początkiem okupacji litewskiej. Skoro mamy dwie prawdy i nie jest oczywiste ani to, że Polska okupowała Wilno, ani to, że tego nie robiła, i większość litewskich historyków zgadza się z tą narracją, to życzylibyśmy sobie, żeby polscy historycy równie ostrożnie korzystali z terminu „okupacja”. Można mówić o litewskim okresie, o okresie litewskich rządów – da się znaleźć bardziej neutralne słowa. Musimy zrozumieć, że bardzo złożonej sytuacji nie da się opisać prostymi słowami.

Słyszałam dyskusję, w której porównywano zajęcie przez Rosję Krymu do tego, co zrobiła Polska na początku XX wieku.

– Głupie porównanie. Na początku XX wieku, kiedy rozpadły się imperia i państwa narodowe musiały na nowo ustalić swoje granice, nie było jeszcze



regulacji międzynarodowych i umowy z konferencji w Helsinkach o nienaruszalności granic po II wojnie światowej. Okupacja Krymu nie tylko jest rosyjską zbrodnią, ale jest też problemem dla historyków. Dotychczas mogliśmy swobodnie dyskutować o wydarzeniach sprzed lat, wiedząc, że terytorialne roszczenia naszych państw są historią, która się nie powtórzy. Ale okupacja Krymu pokazała, że stu procent pewności nie ma. Kilku polityków już mi zwróciło uwagę, że może powinienem zmienić tytuł jesiennej konferencji na bardziej ostrożny.

Żeby nie wskrzesić myśli, że Wilno może nie być raz na zawsze litewskie?

– Wie pani, dlaczego Litwini tak sprzeciwiali się pisowni polskich nazwisk w dokumentach litewskich Polaków? Mój znajomy, profesor filozofii, zaledwie pięć lat temu tłumaczył mi, że byłby to pierwszy krok do polonizacji Wilna: „Najpierw poproszą o nazwiska, potem będą żądać całego Wilna”. Miałem wrażenie, że rozmawiam z wariatem, tyle że niestety podobne wywody słyszałem od niejednego Litwina. Widocznie dla części społeczeństwa żywe są dawne stereotypy, które w moim środowisku są już dziś czymś niedorzecznym. Ale bywa też odwrotnie. W 2017 roku Instytut Historii Litwy we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej i Instytutem Polskim w Wilnie zorganizowały konferencję pod tytułem „Bez emocji. Polsko-litewski dialog o Józefie Piłsudskim”. Zastanawialiśmy się przed nią, jaki cel chcemy nią osiągnąć. I stwierdziliśmy, że byłoby fajnie, gdyby Litwini przestali porównywać Piłsudskiego z Hitlerem i Stalinem, choć szanse na to są niewielkie. Spór o Wilno był kluczowy w relacjach polsko-litewskich, a Piłsudski był uważany przez Litwinów za największego złodzieja, bo zabrał Wilno.

Niejako na próbę generalną przed konferencją zaprosiliśmy do Wilna Adama Michnika z referatem o tym, co Piłsudski znaczy dla Polaków. Ministerstwo spraw wewnętrznych ostrzegało, że mogą się odbywać pikiety litewskich nacjonalistów, miałem telefon z samorządu miasta, żeby zwiększyć ilość policji, bo to miał być pierwszy publiczny wykład na temat Piłsudskiego po II wojnie światowej.

I co?

– Nic. Żadnych demonstracji. Sala na sto osób była przepełniona. Nawet prokurator generalny nie znalazł miejsca i musiał stać. Na wykład przyszli politycy. Dostrzegłem nie wrogość, ale zainteresowanie postacią Piłsudskiego. Okazało się, że

niektóre stereotypy nie mają już tak negatywnego wpływu na społeczeństwo, jak nam, historykom, się wydawało.

Co pan poczuł, kiedy w 2013 roku polscy kibice wywiesili na trybunach transparent: „Litewski chamie, klękni przed polskim panem”?

– Gdyby to wydarzyło się w połowie tych lat 90., kiedy relacje polsko-litewskie były napięte, zostałoby to w Litwie odebrane jako potwierdzenie tych wszystkich antypolskich stereotypów: Polacy się wywyższają i cały czas myślą o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski. Czyli jacy byli, tacy i zostali. Ale dziesięć lat temu stosunki między naszymi krajami były już na zupełnie innym poziomie. Być może niektórzy Litwini załapali analogie historyczne, ale większość spojrzała na to pewnie jak na niezbyt kulturalny wybryk kibiców. Podobnie jak fani naszego klubu Żalgiris skandowali w Berlinie: „Powtórzmy bitwę pod Grunwaldem”. Niemcy pewnie nie zrozumieli, co nasi mają na myśli. Z drugiej strony, trzeba docenić pomysłowość kibiców, że mimo upływu lat ciągle to hasło pamiętamy.

A jak pan patrzy na litewskich Polaków?

– Jak historyk. Niemiecki podróżnik, wjechawszy na historyczne ziemie litewskie, napisał jako tak: „Ludzie mówią tu w dwóch lub trzech językach. Jeśli mówisz tylko w jednym, jesteś uważany za idiotę”. Litwa nigdy nie była krajem monoetnicznym, wyróżniała się nawet na tle Korony. Ale miejscowymi Polakami zainteresowałem się dość późno. W 2000 roku w wileńskim ratuszu spotkało się troje noblistów: Czesław Miłosz, Wisława Szymborska i Günter Grass. W swoim referacie Miłosz przyznał, że o tym, że w Wilnie istniała ważna i słynna kultura żydowska, dowiedział się dopiero, gdy już zamieszkał w Stanach Zjednoczonych. Nie chcę się porównywać do Miłosza, ale ja miałem podobnie, jeśli chodzi o miejscowych Polaków. W czasach sowieckich wszyscy żyliśmy w gettach. Litwini trzymali z Litwinami, Rosjanie z Rosjanami, a Polacy z Polakami. Kontaktów było niewiele. Dopiero gdy w roku 1990 Polacy zaczęli się domagać autonomii, większość Litwinów mieszkających poza Wilnem dowiedziała się, że w Litwie są jacyś Polacy. Pamiętajmy, że Litwini czuli się narodem uciskanym, a każdy naród uciskany jest egoistyczny i myśli tylko o swoich prawach. Kiedy w Litwie, jeszcze zanim wyszła ze Związku Radzieckiego, wprowadzono język litewski jako państwowy, miejscowi Polacy interpretowali to jako gest skierowany przeciwko nim.

Tak nie było?

– Litwini walczyli wyłącznie o swój język, który przez lata był dyskryminowany przez język rosyjski. Polacy z kolei czuli się uciskani przede wszystkim przez Litwinów. Mniejszości narodowe mają to do siebie, że boją się wielkich przemian, myśląc, że po zmianach będzie im jeszcze gorzej. Na przykład w czasach „Solidarności” duża część mniejszości białoruskiej w Polsce była prorządowa, bo bała się o swoje prawa. A gdybym miał określić swój początkowy stosunek do mieszkających w Litwie Polaków, powiedziałbym, że mi nie przeszkadzali, ale też nie wydawali się jakkolwiek ciekawi.

Aż...?

– Aż zrozumiałem, że niespełnione żądania mniejszości polskiej są największym problemem w stosunkach polsko-litewskich. Jeśli sytuacja ma się poprawić, musimy poznać i wysłuchać miejscowych Polaków. Gdy zacząłem z nimi rozmawiać, okazało się, że ich żądania w większości są bardzo logiczne, jak na przykład możliwość zapisania nazwiska w taki sam sposób, jak mieli w dokumentach rodzice czy dziadkowie. Uzasadniona też była krytyka reformy szkolnictwa, która stawiała polskie dzieci w bardzo niekorzystnej sytuacji w porównaniu z dziećmi litewskimi. Skarżyli się też na problemy ze zwrotem ziemi przodków.

Jeśli chodzi o poprawę relacji polsko-litewskich, mówi się, że jest pan szarą eminencją.

– Z 20 lat temu Zbigniew Siemienowicz, dziś dyrektor szpitala w Solecznikach, powiedział mi, że trzeba coś zrobić, by poprawić relacje między naszymi państwami, ale „ja jako Polak nie mogę, a ty jako Litwin nie umiesz”. Pomyślałem, że może i nie umiem, ale spróbuję. Miałem kolegów intelektualistów, którym zależało na zmianie.

Założyliście Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia.

– Giedroyc bardzo nam pomógł w rozmowach z politykami. Wcześniej w Litwie był mało znany. Przytaczaliśmy jego teksty, w których pisał, że gwarantem funkcjonowania niezależnego, silnego państwa polskiego jest istnienie niepodległych państw: Ukrainy, Litwy i Białorusi. To klucz do bezpieczeństwa w tym regionie. A żeby pokazać, że Giedroyc nie był polskim imperialistą – choć z litewskimi korzeniami – zawsze podkreślałem jego słowa, że Polacy powinni zapomnieć o swoich roszczeniach do Lwowa, Wilna i Grodna.

Nawiązaliśmy ścisłą współpracę z Centrum im. Profesora Bronisława Geremka w Warszawie. Zaczęliśmy pracować z dziennikarzami litewskimi, których kilka razy przywieźliśmy na spotkania do Polski. Kiedy Orlen kupił rafinerię w Możejkach, mówiliśmy naszym politykom: „Polacy w stosunki z Litwą zainwestowali miliardy, a my nie chcemy iść na ustępstwa w sprawie kilku symbolicznych liter w dokumentach, co nas nic nie kosztuje”.

W ubiegłym roku to się zmieniło. Po 30 latach sporów Litwa zgodziła się na tych kilka dodatkowych liter, których domagali się miejscowi Polacy. Czuje pan satysfakcję?

– Jeśli cokolwiek się udało, to poniekąd dlatego, że mieliśmy dobrych przyjaciół w Polsce i że ze sobą gadaliśmy. Bardzo dużo wniosły też lata prezydentury Valdas Adamkusa. On w tej sprawie zrobił więcej niż którykolwiek inny prezydent.

Czemu mu na tym zależało?

– Adamkus, wychowany w Stanach Zjednoczonych, przyniósł do Litwy zupełnie inną kulturę, którą można nazwać kulturą dyskusji i tolerancji. Miał podejście, że jeśli z kimś się nie zgadzasz, musisz zacząć z nim rozmawiać. Na przykład jeśli obrażał się na dziennikarzy za jakiś materiał, to potem starał się tych autorów jak najszybciej do siebie zaprosić i z nimi o tym dyskutować. Czasem po takich spotkaniach dziennikarze zmieniali zdanie, a czasem on. Wywodzi się z liberalnej części emigracji litewskiej – tej, która miała kontakty z paryską „Kulturą”. Był wolny od antypolskich stereotypów, ale też patrzył na relacje z Polską bardzo praktycznie. Litwa wzięta osobno niewiele znaczy. Jeśli chce coś osiągnąć, musi działać z Polską. Bardzo dużo wniosły też jego dobre relacje z Lechem Kaczyńskim. Adamkus często opowiada, jak Kaczyński dzwonił do niego na przykład w piątek po południu i pytał: „A co ty na to, jeśli ja dziś do ciebie przylecę?”. Przylatywał i rozmawiali, choć często to nie były sprawy, których nie dało się załatwić przez telefon. To były złote lata relacji polsko-litewskich.

A współcześnie?

– Polska jest ważnym partnerem Litwy pomimo dziwnych rzeczy, które się dzieją w polskiej polityce. W nieoficjalnych rozmowach politycy litewscy wykorzystują sytuację w Polsce jako straszak na politycznych oponentów: „jeżeli zrobimy to czy tamto, skończymy tak jak Polska”. Takich rządów nikt w Litwie by nie chciał. Najbardziej boimy się, że Polska zacznie się jeszcze bardziej konfliktować z Unią Europejską. W odróżnieniu od Polski, w Litwie poziom eurosceptycyzmu jest bardzo niski, a w elitach politycznych praktycznie zero. Jednak proszę zauważyć, że litewscy politycy publicznie Polski nigdy nie krytykują.

Jak wojna w Ukrainie wpłynęła na relacje polsko-litewskie?

– Tylko utwierdziła nas w przekonaniu, że z Polską musimy działać razem. Wspólna historia zaczyna budzić pozytywne emocje, i takie uczucia Litwinów można i trzeba wykorzystać dla naszej wspólnej przyszłości, budując region ULB, jak Giedroyc nazywał Ukrainę, Litwę i Białoruś.

Jest pan uważany za jednego z czołowych polonistów litewskich.

– Ja chyba nadal jestem litewskim nacjonalistą.

No proszę. Wyszło szydło z worka.

– Nacjonalistą w tym samym sensie co Adamkus: jeśli Litwa ma coś znaczyć, to nie ma wyjścia, musi się dogadywać z Polską. A litewskich Polaków trzeba traktować jak normalnych obywateli Litwy, często obywateli lepszej jakości. Litewskiemu Polakowi można zaufać – ten cię nie oszuka. ●

• **General Lucjan Żeligowski i komendant miasta major Stanisław Bobiatiński po wkroczeniu wojsk polskich do Wilna. 1920 r.**

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE